

# David Ost, Przemysław Pluciński

---

## Klasy społeczne to mit! : o klasach społecznych, meandrach polskiej transformacji, kondycji związków zawodowych i lewicy z Davidem Ostem rozmawia Przemysław Pluciński

---

Nowa Krytyka 26-27, 393-407

---

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Klasy społeczne to mit!

### O klasach społecznych, meandrach polskiej transformacji, kondycji związków zawodowych i lewicy z Davidem Ostem rozmawia Przemysław Pluciński\*

**Przemysław Pluciński:** *Na wstępie chciałbym odnieść się do Twojej tezy, którą wyrażasz między innymi we wstępie do książki Elizabeth Dunn, czyli problemu „wytwarzania klas społecznych” w Polsce po 1989 roku. Stwierdzasz mianowicie, że klasowość to cecha społeczeństwa kapitalistycznego, a więc potransformacyjnego. Davidzie, na ile przychyliłbyś się do poglądu, że w ramach polskiej transformacji nie mieliśmy jednak do czynienia z projektem wytwarzania klas społecznych, ale raczej z procesem urabiania pewnych klas społecznych do posłuszeństwa i uległości? Warto bowiem w tym momencie pamiętać o jednym: socjalizm mimo wszystko upodmiotowił robotników oraz, po części, kobiety – przede wszystkim jako robotnice. Problem z upodmiotowieniem, o którym mówię, był jednak taki, że miało ono charakter niepełny, było upodmiotowieniem na smyczy partii, jeśli mogę się tak potocznie wyrazić. Była to przy tym jedna z przyczyn rodzącego się niezadowolenia. Na ile więc poparłbyś tezę, że polska transformacja to jednak rekompozycja strukturalna w wymiarze klasowym, po części też zmiana elit?*

**David Ost:** Tak, była to z pewnością zmiana elit. Rozpocznijmy jednak od problemu klasy robotniczej. System realnego socjalizmu rzeczywiście dawał pewne przywileje, również kobietom. Robotnicy mogli żyć częściowo w poczuciu, że stanowią ważną grupę społeczną, bowiem w pewnym realnym sensie był to

---

\* Rozmowę przeprowadzono 14 czerwca 2008 r. w Poznaniu.

„ich” system. Ilekroć myślę o problemach, które tu właśnie poruszamy, zastanawiam się nad takim fenomenem: co powodowało, że podczas erupcji buntów społecznych wzrastała jednocześnie integracja społeczna? Właśnie to, że tu, w Polsce, ludzie tak aktywnie łączyli się ze sobą fascynowało liczne środowiska na Zachodzie, między innymi mnie. Było to w pewnej mierze funkcją tego, że to właśnie robotnicy mogli czuć się grupą upodmiotowioną. Dlaczego tak mówię? Choćby dlatego, że inne formy pracy, pracy na własny rachunek – jak miało to miejsce w przypadku chłopów czy rzemieślników – miały charakter marginalny. Ci ostatni nie stanowili dużej i silnej grupy społecznej, ich odsetek to może kilka procent społeczeństwa. Przechodząc do wniosków: jako że każdy miał tego samego pracodawcę, miał też poczucie, że jest uzależniony od samego centrum politycznego, że to partia podejmuje kluczowe decyzje. To też wytwarzało, jako paradoks, pewien odprysk, poczucie jedności, które mnie fascynuje. Dlatego też myślę, że fenomen zmiany po 1989 roku polegał na tym, by stworzyć nowe podziały i złamać tę jedność. Panujące w partii przekonanie o własnej wszechwładzy, nawet jeśli nie miało pokrycia w rzeczywistości, przesądzało o tym, że ludzie coraz silniej jednoczyli się w proteście przeciwko tej właśnie partii. Jej omnipotencja obracała się więc przeciwko niej samej.

**PP:** *W kontekście Twoich tez pobrzmiewa pewien wątek trockistowski – twierdzisz, że to państwo była pracodawcą, a więc właścicielem środków produkcji. Niektórzy trockiści krytykowali ustrój realnego socjalizmu, określając go jako ‘kapitalizm państwowy’. Stwierdzali, że w obrębie społeczeństw socjalizmu realnego mieliśmy do czynienia z klasą panującą, określaną zwyczajowo jako nomenklatura, która podejmowała kluczowe decyzje i czerpała ekonomiczne korzyści z bycia realnym dysponentem środków produkcji. Była to więc swoista kryptoburżuazja tamtejszego ustroju...*

**DO:** ...i tu właśnie należy uważać, bo tylko pewien odłam trockistów wysuwał podobne tezy; to właśnie twierdzenie Tony’ego Cliffa, po części też Milovana Džilasa. Ja sam byłem kiedyś bliżej myśli trockistowskiej, choć nie podzielałem tych akurat poglądów. Dla mnie najważniejsze jest to, że grupa, o której mówisz, czyli nomenklatura, mimo tego że podejmowała decyzje inwestycyjne, nie była właścicielem środków produkcji. Cieszyła się przywilejami, ale – jak każdy wie, spoglądając na sytuację z odpowiedniej i koniecznej perspektywy – przywileje te były znacznie mniejsze niż w jakimkolwiek kraju kapitalistycz-

nym. Różnice społeczne nie były aż tak znamienne, trzeba więc wziąć pod uwagę to, jaki miały charakter. Może było to większe mieszkanie przy alei Róż w Warszawie, być może była to willa. Sam gościłem kilka razy u takich osób i pamiętam swoje szczere zdziwienie dotyczące tego, co posiadają. W porównaniu z rzeczywistością kapitalizmu nie było tego wcale nazbyt wiele. Przywileje dotyczyły też możliwości wyjazdów zagranicznych, może drobnej korupcji, wykorzystywania koneksji politycznych dla prywatnego interesu. Każdy system generuje nierówności i nie sądzę, że wszelkie różnice społeczne musimy określać jako różnice klasowe.

Ja poszukuję korzyści, które mogę czerpać z pojęć naukowych. Stąd też sądzę, że istnieją zasadnicze różnice pomiędzy ustrojami jako przedmiotem analizy – nie myślę więc „konwergentnie”, jak wspomniani trockiści. Interesują mnie przede wszystkim te cechy systemu kapitalistycznego, które sprawiają, że jednostki podejmują decyzje inwestycyjne, sami dysponują środkami produkcji, sami też, dzięki indywidualnym staraniom, mogą zapewnić sobie i swoim rodzinom bogactwo. Zaś próby wykazania tego, że liczni ‘komuniści’ dorabiali się wielkich majątków dzięki swej władzy politycznej, spełzały na niczym. Dlatego też sądzę, że niewiele nam daje określanie nomenklatury mianem klasy. Była to grupa, do której można było wejść i wyjść kanałami politycznymi. Natomiast będąc kapitalistą, działasz w innym środowisku, sam decydujesz – podejmujesz mądre bądź niemądre decyzje gospodarcze, możesz również marnować środki, które posiadasz i które – co najważniejsze – stanowią twoją własność.

Używając pojęcia klasy w postweberowskim, politycznym sensie, zakładam jednocześnie – wiem, że nieco prowokacyjnie – że klasy nie istnieją! Klasa jest mitem! Pojęcie klasy jest pojęciem czysto teoretycznym. To kategoria, którą niejako narzucamy rzeczywistości. Jeśli jednak pojęcie klasy jako takie ma być pojęciem użytecznym poza dyskursem akademickim, to przechodzimy w tym momencie do weberowskich konotacji pojęcia. W tym wypadku, skupiając się na jego praktycznym wykorzystaniu, ktoś musi przekonać ludzi, że ich pole działania jest ograniczone właśnie z uwagi na przynależność do jakiejś klasy.

**PP:** *Czy mam rozumieć to w ten sposób – stosując pewną teoretyczną paralelę – że tak, jak Benedict Anderson określa naród jako wspólnotę wyobrażoną, tak Ty traktujesz klasy? Właśnie jako pewną „wyobrażoną wspólnotę interesów ekonomicznych”?*

**DO:** W politycznym sensie dokładnie tak. Do tego, że ludzie należą do jakiejś klasy, należy ich przekonać. W polityce, a to ona interesuje mnie przede wszystkim, liczy się bowiem to, czy ludzie czują przynależność do danej klasy. To właśnie wpływa na ich działania i wybory.

**PP:** *Widać u Ciebie w „Kłęsce Solidarności” silną opozycję strukturalną – przeciwstawiasz społeczeństwo, upostaciowione poprzez ruch społeczny „Solidarność”, strukturom zinstytucjonalizowanym – państwu. Jest to jedna z możliwych interpretacji interesujących nas procesów. Inne z możliwych interpretacji mówią, że opozycja, którą Ty interpretujesz w wyżej zarysowany sposób, to tak naprawdę realny konflikt konkretnej klasy społecznej – robotniczej przeciwko innej klasie – nomenklaturze. Potencjalny zarzut socjologiczny mógłby tu dotyczyć tego, że opozycja społeczeństwo versus państwo jest nazbyt ogólna, że za ową opozycją kryją się zawsze konkretne interesy, interesy klas społecznych.*

**DO:** Problem dotyczy tu tego, że owej propozycji, którą kreślisz jako alternatywną, w istocie nie widać. Według mnie pierwsza „Solidarność” „wypożyczyła” zaplecze ideowe od KOR-u, choćby ideę samoograniczenia czy antypolityki. Szło przede wszystkim o ewolucję zastanego systemu, nie zaś o postulaty obalenia panującej partii. Po stanie wojennym sytuacja jeszcze bardziej się zmieniła – choćby w kontekście dyskusji o prawach własności. Pamiętam czas, kiedy byłem w Polsce w 1984 roku – niby ponury okres, nic się nie dzieje – a tu polska inteligencja zaczyna fascynować się dziełami Hayeka. To odczarowanie miało miejsce w kręgach związanych z osobą Leszka Balcerowicza. Były wtedy regularne spotkania, na których referaty przedstawiali na przykład Jadwiga Staniszkis czy Stefan Kawalec. Pod dyskusję poddawano teorię praw własności, traktowano ją jako prawdziwe odkrycie. Wcześniej myślano, że źródłem demokracji jest partycypacja obywatelska. Pogląd ten jednak został zrewidowany i fundament demokracji zaczęto doszukiwać się w instytucji własności prywatnej.

Pamiętam, że wcześniej – w roku 1981 – przywiozłem do Polski dwa tomy poświęcone marksizmowi partycypacyjnemu, które później zostawiłem Kazimierzowi Klocowi. Cieszyły się dużym zainteresowaniem. Krótco później, we wspomnianym roku 1984 – po kłęsce pierwszej „Solidarności” – poczęto traktować za podstawę demokracji nie tyle działanie społeczne, ile własność. Kręgi, o których mówię, stawały się coraz bardziej wpływowe i stawały się rzeczywi-

stą awangardą „Solidarności”. Również Wałęsa coraz bardziej opierał się na tej grupie i izolował frakcję Gwiazdy. Dopiero wtedy też, wraz z nowymi ideami, zaczęły krystalizować się nowe interesy. Właśnie dlatego nie powiedziałbym, że opozycja strukturalna była tak prosta: robotnicy przeciwko nomenklaturze. Podziały były bardziej skomplikowane. Myślę, że również szersze kręgi społeczne, choćby inteligencja, mogły czuć się „wykluczone” na równi z robotnikami. Ten system dawał ku temu realne podstawy. Poczucie ograniczenia, świadomość braku możliwości swobodnego działania wytwarzały pośród szerokich kręgów inteligencji przekonanie, że ich strukturalne położenie jest podobne do położenia robotników. Właśnie dlatego to nie „robotnicy przeciwko nomenklaturze,” ale opozycja „społeczeństwo przeciwko władzy” stanowiła kluczową oś ówczesnego konfliktu. Oczywiście, trzeba też pamiętać o tym, że sama inteligencja zdawała już sobie powoli sprawę, iż jest szansa na poszerzenie tych możliwości...

**PP:** ...czyli to poczucie wykluczenia pośród inteligencji, szczególnie opozycyjnej inteligencji, było dość podobne, jak wśród robotników...

**DO:** ...może nie tylko opozycyjnej. Odwołam się tu do analogii. Podobna sytuacja miała miejsce nieco później, bo w czasach Gorbaczowa w Związku Radzieckim w szeregach skupionej wokół niego inteligencji. Poczucie braku możliwości, przekonanie, że system w którym żyjemy nie jest dla nas otwarty, przyczyniło się do jego końca. Wcześniejsze pokolenia nie miały takich kompetencji, które w przypadku utraty władzy pozwoliłyby przystosować się do nowych warunków. Zaś członkowie radzieckiej partii, ale i szersze kręgi społeczne, w latach 80. były lepiej wykształcone, posiadały liczne umiejętności...

Sądzę, że również w Polsce w roku 1980 właśnie dlatego nie doszło do radykalnego, siłowego stłumienia „Solidarności”. Nie byłoby to z pewnością łatwe – było jednak w pełni możliwe, gdyż sprawujący władzę mieli taki potencjał. Stało się tak dlatego, że już wówczas mieliśmy do czynienia w szeregach partyjnych decydentów z wątpliwościami: co dalej? czy utrzymywać władzę? Rodziły się już wtedy pomysły, że można oddać władzę polityczną, a mimo to nie ulec społecznej marginalizacji. Bo nomenklatura zdawała sobie sprawę z tego, że dysponuje dużym kapitałem kulturowym, edukacyjnym, i dzięki temu może utrzymać uprzywilejowane pozycje bez władzy politycznej. Nie chodziło więc tylko o słynny „kapitalizm polityczny” – zastępowanie czystej władzy politycz-

nej czystą władzą gospodarczą. Członkowie nomenklatury byli raczej coraz bardziej świadomi swych wysokich kompetencji i doświadczenia, posiadali umiejętności ekonomiczne, stąd też zakładali, że odnajdą się w nowych realiach społeczno-gospodarczych. Reasumując: już nie tak bardzo bali się oddania władzy. Sytuacja w latach 80. była przecież diametralnie różna od tej, jaka miała miejsce choćby w latach 60. Pierwioskiem były lata 70. – kredyty gierkowskie, pierwsze żywe kontakty z Zachodem, szersze otwarcie gospodarki na wymianę. Tutaj w Polsce wiele się zmieniało z dnia na dzień, z roku na rok. Dzięki temu dochodziło do pojawiania się szczelin w systemie: sami ludzie coraz bardziej czuli, jak bardzo system ich krępuje.

By sensownie wyjaśnić procesy, o których mówimy, należy powrócić do kluczowej roli wykształcenia. Dzięki niemu ludzie uświadamiają sobie coraz lepiej, że mogą iść swoją, samodzielną drogą. To właśnie działo się w wielu krajach bloku socjalistycznego, właśnie w Związku Radzieckim i w Polsce. Interesująca jest, niestety nieprzełożona na język polski, książka Moshe Lewina zatytułowana *The Gorbachev Phenomenon* (1988), w której autor dokonuje analizy pierestrojki, wiążąc ją właśnie z procesami umasowienia wykształcenia. W czasach panowania komunistycznego mieliśmy bowiem do czynienia z wykształceniem, a dzięki temu i ze społecznym awansem, wcześniej niepiśmianych mas. I choć nie jest to teza, która występuje we wspomnianej książce, ja podsumuję to w ten sposób: komunizm poniósł klęskę, ponieważ odnosił sukcesy. Zmienił społeczeństwo, wykształcił jego członków, dał części ludzi możliwości, których w innych warunkach by nie mieli. Pewność, jaką miała przed kilkudziesięciu laty partia komunistyczna, że jest bastionem wiedzy, była początkowo uzasadniona. Z roku na rok logika ta stawała się jednak coraz bardziej jałowa. Również aktyw partyjny zdawał sobie z tego sprawę.

Cały czas podkreślam to, że moja główna – dyskutowana po opublikowaniu *Kłęski Solidarności* – teza nie brzmi wcale tak prosto, iż robotnicy po roku 1980 zostali oszukani. Podczas aliansu z inteligencją doszło do powołania rzeczywistej wspólnoty między różnymi kręgami społecznymi, łączyły je podobne interesy. Jeszcze wtedy robotnicy nie żyli w poczuciu zagrożenia tym, że inteligencja dokona awansu na robotniczych plecach. To zresztą ciekawe, że w tym samym momencie również inteligenci ujrzeli w robotniku podobnego sobie człowieka: pracowitego, coraz lepiej wykształconego, potrafiącego samodzielnie artykułować swoje coraz bardziej świadome interesy.

Sam przyglądałem się tym procesom z ogromnym zainteresowaniem, szczególnie wzrostowi świadomości pośród ludzi. Problem polegał raczej na tym, że robotnicy, akceptując sojusz z inteligencją, nie zdawali sobie sprawy z tego, iż inteligencja jako taka posiada obiektywnie więcej możliwości. Robotnicy nie byli przecież tak mobilni jak sama inteligencja, rzadziej podróżowali po kraju, mniej wyjeżdżali za granicę. Robotnicy przy tym dość długo, bo – jak wskazywały moje badania – całe lata 80. żyli w przekonaniu o przyjaźni, która łączy ich z opozycyjną wobec władzy inteligencją. Ta wiara utrzymywała się jeszcze w pierwszych kilku latach po 1989 roku. Stąd też to ogromne rozgoryczenie, o którym mówię w *Kłęsce Solidarności*. Tam tkwi jego źródło. To właśnie wtedy zaczęły się pojawiać pytania o rozejście się dróg robotników i inteligencji. Pojawiły się wątpliwości, poczucie osamotnienia. Trzeba pamiętać, że jeszcze w roku 1989 postsolidarnościowe elity polityczne korzystały z robotniczego zaufania. Świadomie wykorzystywał ów kredyt również Leszek Balcerowicz. On sam zresztą, jako liberał i ideolog kapitalizmu, myślał uniwersalistycznie i szczerze wierzył, że budowanie nowego systemu jest również w interesie robotników. To była wiara oparta na przekonaniu, że każdy ma szansę awansować, kształtować od nowa swoje życie. Przy tym jednak trzeba pamiętać, że Balcerowicz wiedział, iż terapia szokowa na krótką metę zaszkodzi najbardziej robotnikom. Myślał jednak o transformacji gospodarki i społeczeństwa w długiej perspektywie.

**PP:** *No właśnie. A propos Leszka Balcerowicza i jego przejętego od Jeffreya Sachsa planu gospodarczego. Podobno opracowane zostały trzy wersje planu naprawy polskiej gospodarki i to właśnie Balcerowicz zdecydował się na ten najbardziej drakoński, najmniej osłonowy, pozbawiony buforów. Tak przynajmniej twierdzi Tadeusz Kowalik. Czy znane są Ci kulisy tej sprawy?*

**DO:** Nie. Ale brzmi to wiarygodnie i uważam taką sytuację za prawdopodobną. To zresztą da się wyjaśnić wiarą Balcerowicza jako neofity, który jest przekonany, że wreszcie posiadał prawdę. Jeżeli prof. Kowalik ma rację, to widać to dość dobrze.

**PP:** *Skoro jesteśmy już przy „Solidarności”, chciałbym zapytać Ciebie jako naoczego obserwatora i w zasadzie insidera o radykalną zmianę jej orientacji. Chodzi mi o porzucenie idei partycypacyjnej, nawiązań do tradycji syndykalis-*



*tycznej, chociażby w ramach Międzyzakładowych Komitetów Strajkowych. Co sprawiło, że nastąpiło rozczarowanie ideą partycypacyjną?*

**DO:** Stało się tak przede wszystkim dlatego, że nastąpił 13 grudnia, kiedy to pierwsza „Solidarność” przegrała. Stawiając początkowo na ideę partycypacji, zdołano stworzyć naprawdę wielki ruch, ale ten ruch poniósł klęskę. Sam pamiętam, co było zresztą dla mnie bardzo fascynujące, że byłem obecny na walnym zebraniu delegatów „Solidarności” regionu Mazowsze 5 lub 6 grudnia, kiedy było już wiadomo, że do jakiejś, jeszcze nie było wiadomo jakiej, konfrontacji wkrótce dojść musi. Zbigniew Bujak zapowiadał, że w momencie konfrontacji zwróci się ponownie do delegatów o opinie. Sygnalizował więc dalsze dyskusje, nawet w sytuacji, kiedy staną się one w zasadzie niemożliwe.

Skoro więc ten pierwszy ruch poniósł klęskę, to naturalne są w takim przypadku pytania: co dalej? W tym momencie do głosu doszła elita intelektualna, a przede wszystkim ideowa, wywodząca się ze środowisk KOR-u. Grupę tą stanowiła solidarnościowa elita wcale nie z powodu jakiegoś „skoku na władzę”, jak chce to widzieć dzisiejsza prawica. Wynikało to bowiem z naturalnych uzdolnień tych ludzi, ich genialnych zdolności do organizowania ruchów społecznych. Na przykład książka Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog* jest w tym względzie bardzo zręczna, przede wszystkim socjotechnicznie. Michnik zarazem wyluszczał w niej swoje szczere poglądy, potrafił jednak dodatkowo zjednać dla potrzeb ruchu ważne i wpływowe środowisko. Zdawał sobie sprawę z tego, że to jest doskonały sposób na mobilizację, zdobycie poparcia Kościoła i ludzi wierzących. I nie było to moim zdaniem czyste wyrachowanie.

Wracając do głównego wątku – to właśnie ideolodzy KOR stanęli na czele „nowego” ruchu. Cieszyli się oni od początku zaufaniem Lecha Wałęsy. Powtórzmy – punktem przełomowym stał się 13 grudnia, kiedy to podano w wątpliwość praktyczne możliwości idei partycypacyjnej. Zwolennicy nowej linii zaczęli podawać w wątpliwość dotychczas bezgraniczne zaufanie do idei masowości ruchu. Tę zmianę poglądów dobrze oddał Kuroń w swoim wystąpieniu *Zło, które czynię*. Sam Kuroń wyraził w nim między innymi swoje rozczarowanie ideą partycypacji. Podał w wątpliwość ideę człowieka „totalnie politycznego”, ideę zakładającą, że każdy jest politycznym działaczem. Ludzie zainteresowani są raczej żywotnie „korzystaniem z życia”, nie zaś permanentnym „myśleniem politycznym”. To rozczarowanie dobrze oddaje powiedzenie George’a Bernarda Shawa. Shaw zapytany o możliwość zwycięstwa socjalizmu miał od-

powiedzieć: *it takes up too many evenings*. Chyba nie każdy jest zwierzęciem politycznym...

**PP:** *W samej „Solidarności” pojawiały się też od tego momentu pewne wątki „narodowe”...*

**DO:** Pamiętam moją wizytę w siedzibie „Solidarności” w październiku 1981 roku. Można było wtedy znaleźć tam ludzi, którzy rozpowszechniali antysemityczne ulotki czy też radykalnie narodowe treści. KOR-owska elita ruchu zdawała sobie coraz bardziej sprawę z tego, że w polskim społeczeństwie te nastroje cały czas się tłą, że tradycja endecka czeka w ukryciu. Skoro takie demony drzemą wśród Polaków, to może rzeczywiście lepiej dążyć do porozumienia elit, a nie upierać się przy oddolnej partycypacji?

Prócz wspomnianych impulsów istotna okazała się wreszcie zmiana klimatu politycznego w otoczeniu globalnym. Elity, o których mówimy, zawsze liczyły na poparcie Zachodu. Trzeba pamiętać o tym, że jeszcze pod koniec lat 70., kiedy poza Polską silne były tradycje socjaldemokratyczne, w kraju takim jak Polska znacznie łatwiej było być dysydenckim socjalistą. Po liberalnym przewrocie Thatcher, Reagana i Mitteranda to się diametralnie zmieniło. Klimat globalnej polityki stawał się powoli taki, że można było się do niego jedynie przystosować.

**PP:** *Jaka jest Twoim zdaniem rola rodzącego się podówczas środowiska gdańskich liberalów w polskiej opozycji i transformacji?*

**DO:** Muszę powiedzieć, że środowisko gdańskie znam dużo słabiej. Co jednak uderzające, to chyba to, że dyskusja ideowa tamtego środowiska dotyczyła spraw gospodarczych i idei ekonomicznych. Na tym polu to środowisko zyskiwało pewien monopol... Co ważne, tych dyskusji w Warszawie do pewnego momentu było mniej. W gdańskim środowisku dyskusje dotyczyły bardziej spraw konkretnych, kwestii bardziej ‘technicznych’. To szansa, którą umiejętnie wykorzystano. System bowiem zmieniał się, przygotowywał się do ewolucji – w ten kontekst trafiło właśnie gdańskie środowisko. W tym czasie warszawskie elity rozumiały, że gdańszczanie pewne kwestie opracowali lepiej, że być może warto się od nich uczyć.

**PP:** *Twoją naczelną tezę jest założenie, że „przyznanie się” do klasowości społeczeństwa kapitalistycznego jest na poziomie systemowym funkcjonalne, przede wszystkim dla podsystemu polityki – pozwala bowiem skutecznie organizować gniew społeczny, który nie staje się wtedy irracjonalny. Jeśli z kolei kanały rozładowania tego gniewu nie istnieją lub są nieefektywne, grozi to destabilizacją życia społeczno-politycznego. W Polsce doszło do zagospodarowania społecznego gniewu przez „dyskurs korupcji”, który stał się jedynym możliwym kanałem artykulacji niezadowolenia przez rzesze wykluczonych w Polsce. Jak oceniasz ten rodzaj przemieszczenia gniewu?*

**DO:** Odwołam się tu bezpośrednio do pracy Elizabeth Dunn (*Prywatyzując Polskę*), w której autorka opisuje prywatyzację rzeszowskiej „Alimy”. To przykład pierwszej prywatyzacji na naprawdę ogromną skalę. Była to zresztą prywatyzacja pokazowa. Istotnym jej elementem było wykorzystanie usług przedsiębiorstw audytowych, któremu towarzyszyła cała „ideologia” audytu – język ekspertyzy, nacisk na absolutną „czystość” poprzez formalnoprawne zakotwiczenie podejmowanych decyzji, zaufanie dla powagi doświadczonych, międzynarodowych firm księgowych. Stwarzało to odpowiednią otoczkę wokół całej idei prywatyzacji. Niemożliwe stawało się w tym kontekście kwestionowanie poszczególnych posunięć prywatyzacyjnych. Jeśli zaś krytyka procesów, których jesteśmy przedmiotem, nie jest możliwa, sprawia to, że staramy się jakoś wytłumaczyć ewentualne wątpliwości. Nie mamy przy tym innego języka niż „dyskurs korupcji”, który mówi jedynie, że – posługując się językiem potocznym – „ktoś coś do kieszeni”...

Prywatyzacja w jej wolnorynkowej wersji była w tamtym momencie niepoddawalna jakiegokolwiek dyskusji – środowiska KOR-owskie już dawno odrzuciły idee partycypacyjne, również lewica nabrała wody w usta, zaś prawica popierała wówczas „prawdziwy kapitalizm” zredukowany do idei jak najszerzej zakrojonej i pospiesznej prywatyzacji. Powoli zaczynało brakować jakiegokolwiek wyjaśnienia ówczesnej sytuacji: dlaczego coś postępuje nie tak, jak miało według początkowych obietnic elit wyglądać? Dlaczego my sami nie zyskujemy w żaden sposób na prywatyzacji? Brakowało wówczas jakichkolwiek wiarygodnych interpretacji. Wygodnym wyjaśnieniem stała się więc korupcja! Trzeba też jednak pamiętać, że samo słowo korupcja jako pojęcie „popularne” pojawiło się nieco później, szczególnie jeśli idzie o język prawicy. W pierwszej

połowie lat 90. nie było ono w tak szerokim obiegu, jak w ostatnich latach. Podówczas mówiło się częściej o „czerwonych baronach”.

**PP:** *Jaka w tym rola związków zawodowych? Na ile powinny się one organizować i działać jak partie polityczne? Warto przypomnieć tu kłopoty „Solidarności”, która stała się realnie partią polityczną.*

**DO:** Myślę, że ważny jest tu kontekst globalizacji. Trzeba pamiętać, że to kontekst mobilności kapitału pozwala utrzymywać w posłuchu świat pracy. Jeśli więc idzie o rolę związków zawodowych, tu uważam – nieco paradoksalnie, bo nie przypuszczałem, że kończąc książkę dojdę do takich wniosków – iż związki zawodowe powinny być przede wszystkim związkami zawodowymi: skupiać się na interesie swoich członków. Walczyć o ich prawa, nawet jeśli jest to czasem nieracjonalne, nie być uległym. Nie wyklucza to zrozumienia dla problemów drugiej strony, ale powtarzam, że podczas negocjacji powinny obstawać przy swoich żądaniach. Uważam też, że to właśnie związki zawodowe mają szansę najskuteczniej artykułować różnice klasowe.

**PP:** *Davidzie, czy w takim razie uważasz, że cały czas największy polski związek zawodowy – „Solidarność” – mówi językiem klasowym czy raczej się go wypiera?*

**DO:** Trudno mi wyrokować, wszak szczegółowe badania prowadziłem dobre kilka lat temu. Myślę jednak, że po roku 2000 używa coraz bardziej takiego właśnie języka. OPZZ podobnie. Sądzę też, że to dobrze. Klasowość społeczeństwa kapitalistycznego trzeba sobie bowiem „uświadomić”. Idzie mi tu przede wszystkim o relacje między klasowością a ograniczeniami możliwości swobodnego działania. Wymaga to też nabycia gorzkiej samowiedzy, pogodzenia się ze swoją pozycją w strukturze: że jesteśmy na dole, że nie jesteśmy panami swego losu, może nawet tego, że nie jesteśmy nawet w pierwszym rzędzie Polakami, ale przede wszystkim robotnikami.

Podobają mi się tu analizy Victorii Hattam i jej praca o świadomości klasowej (*Labor Visions and State Power*). Dla Hattam świadomość klasowa, w odróżnieniu od tradycji marksistowskiej, nie zasadza się na przekonaniu o uniwersalizmie czy nawet mesjanizmie, ale właśnie na świadomości interesu wąskiego, partykularnego, którego jest się wyrazicielem. Między innymi dlatego ja sam

kwestionuję pogląd, że w przypadku społeczeństwa komunistycznego możemy mówić o klasach. To też wyjaśnia po części problem z odnalezieniem się robotników w latach 90. Byli oni bowiem cały czas uwięzieni w tych marksistowskich (nawet jeśli nie do końca uświadomionych), uniwersalistycznych kategoriach. Konkludując – według mnie najważniejsze jest to, by związki zawodowe reprezentowały taki wąski, ekonomiczny profil działania i reprezentacji interesów. To stwarza też świadomość odrębności klasowej. Ta świadomość jest kluczowa, stwarza bowiem poczucie jedności. Choćby jako reakcję na mechanizm publicznego potępienia przez elity.

**PP:** *A jak, analogicznie, postrzegałbyś miejsce dla partii politycznej odwołującej się do – tak jak je rozumiesz – interesów klasowych?*

**DO:** Wokół tego problemu jest sporo nieporozumień, jeśli zaś idzie o moje stanowisko w tej sprawie, to pewne rzeczy mówię chyba nie nazbyt wyraźnie. Mój pogląd jest następujący – jeśli chcemy mieć stabilną demokrację i traktujemy ją poważnie, to konieczne jest uznanie interesów ekonomicznych, a więc klasowych, za główną przyczynę podziałów społecznych. Kluczowe w porządku demokratycznym jest zaś to, by istniejące partie uznawały ten podział. Sam nie jestem zwolennikiem hegemonii jednej partii, choćby socjalistycznej. To się politycznie nie opłaca. Nawet republikanie w USA nie mówią wprost o tym, że reprezentują interesy dużego biznesu, przykładowo koncernów naftowych, nawet jeśli faktycznie go wspierają. Najważniejsze jest tu jednak, by siły polityczne skupiły się na uznaniu interesów ekonomicznych za fundament. Nie mówię jednocześnie, że inne kwestie, problemy kulturowe czy interesy tożsamościowe są nieważne. One są tak samo realne i ważne dla ludzi, konstytuują istotne różnice zdań w społeczeństwie. Jeśli jednak zależy nam na inkluzywnym systemie politycznym, to nie należy mistyfikować rzeczywistości i przyznać interesom ekonomicznym kluczowe znaczenie. Jeśli interesy ekonomiczne nie są poddawane pod dyskusję, rodzi to zagrożenie zamknięcia ich w ramach dyskursu eksperckiego. Stają się wtedy kwestią techniczną, dla szerokiego spektrum uczestników życia politycznego przeistaczają się w tabu. Powstaje wówczas próżnia, którą mogą zapełnić walki tożsamościowe i kulturowe. Są one ważne, co podkreślam po raz kolejny. Odwracają jednak uwagę od nierozwiązanych kwestii na polu ekonomicznym. Lewica powinna być na nie uczulona szczególnie, by – nie zapominając o kwestiach kulturowych – cały czas podkreślać do-

niosłość kwestii materialnych. Skoro konflikty społeczne mogą być zorganizowane wokół różnych podziałów, to dla liberalnej inkluzywności na polu polityki lepiej, żeby zostały one zorganizowane wokół takich podziałów, które mogą być przedmiotem kompromisu, *ergo* podziałów ekonomicznych, nie zaś wokół problemów tożsamościowych, w kwestii których kompromis nie jest możliwy. W Stanach Zjednoczonych widać od pewnego czasu taką właśnie tendencję – demokraci wracają do kwestii ekonomicznych jako spraw istotnych. Mówi o tym choćby książka Thomasa Franka *Co się stało w Kansas?*, odnosząc się do przyczyn oddania pola przez demokratów. Jakkolwiek książka Franka nie jest w tym kontekście jedyną pracą, i to zapewne nie pod jej wpływem demokraci zmieniają kierunek, to najistotniejsze jest, że widzą oni zagrożenia i starają się wypracować nową linię. Może pewne środowiska odbiorą to jako cios, pewnie tak będzie. Najważniejsze jest jednak, że „porzucona” dziedzina spraw ekonomicznych staje się na powrót przedmiotem debaty.

To jest też pewien fenomen, że to partie prawicowe wygrywają, podnosząc kwestie tożsamościowe. Bo nie mają nic innego do zaoferowania! Prawica była silna jeszcze w latach 20., 30., w społeczeństwie nie tak jeszcze nowoczesnym. Wyrodziła się pod postacią faszystów, potem znów straciła na sile. Obecnie jednak odradza się, przede wszystkim podnosząc kwestie tożsamościowe i kulturowe: problem aborcji, kwestie mniejszości seksualnych, rasy, problemy imigrantów. Lewica – wmanewrowana tylko i wyłącznie w ten dyskurs, pomijając kwestie ekonomiczne – sama sobie przygotowuje przegraną.

**PP:** *Juliusz Gardawski w jednym ze swych wystąpień na łamach „Gazety Wyborczej” stawia tezę, że główną przyczyną słabości polskich związków zawodowych są regulacje prawne, które pozwalają na nazbyt duże rozproszenie organizacji związkowych. Liderzy mniejszych, zazwyczaj bardziej radykalnych organizacji, poszukując poklasku i poparcia, dążą przede wszystkim do konfrontacji i licytowania dążeń. Mówiąc po gombrowiczowsku – przyprawia to jednak gębę całości świata związkowego. Pozwala to traktować związkowców jako oszołomów. Jest to kontrskuteczne...*

**DO:** Akurat tego tekstu Gardawskiego nie czytałem. Wiem jednak, że są obecnie silne tendencje do zmiany ustawy, popierane choćby przez „Solidarność” i OPZZ jako członków komisji trójstronnej, by zmniejszyć rolę małych związków. Ja nie mam nic przeciwko temu.

**PP:** *Czy nie są to jednak argumenty hegemonów? Dążenia OPZZ i „Solidarności” by jeszcze bardziej scentralizować i umocnić swoją władzę? Celem jest bowiem depluralizacja.*

**DO:** Być może. Ale moim zdaniem zdrowa walka może się równie dobrze toczyć wewnątrz dużego związku. To jest przy tym wielki problem tożsamości takiego związku. Całkiem jak w dużej partii politycznej. Trzymanie się określonej linii może spowodować, że zrażą się ci, którzy akurat mają inne zdanie niż opcja wiodąca.

Jednak również wielość związków może powodować, że część z nich powstaje po to, by ochronić kilka osób, nie reprezentują więc interesu załogi. Paradoksalnie więc sytuacja pluralizmu może prowadzić do pogorszenia szans na budowanie silnych związków jako takich, tłumi też w ich obrębie zdrową walkę między różnymi opcjami działania. Dlatego też nie mam nic przeciwko takiej sytuacji, gdzie konkuruje ze sobą mniejsza liczba organizacji związkowych. Muszę się od razu przyznać, że być może jest to mój amerykański punkt widzenia. W Stanach Zjednoczonych pluralizm związkowy nie jest rozpowszechniony, w danym przedsiębiorstwie może funkcjonować jeden silny związek.

**PP:** *Kończąc rozmowę, chciałem właśnie zapytać o kondycję amerykańskich związków zawodowych i amerykańskiej lewicy. Szczególnie dlatego, że trudno nazwać amerykańskich demokratów lewicą w naszym europejskim znaczeniu...*

**DO:** Związki zawodowe przeżywają obecnie bardzo trudny okres. Trwa to już dwie dekady, polityka Reagana pozwoliła bowiem na bardzo ostre traktowanie związków. Są jednak liczne próby, aby to zmienić. Warto tu wspomnieć choćby udaną kampanię i protesty służb komunalnych w Los Angeles. Realna siła przetargowa wyraża się tu w tym, że są jeszcze prace, które trudno zrelokalizować. Warto też w tym miejscu wspomnieć o hierarchii w obrębie samego świata pracy. Wśród pewnych grup zawodowych istniało bowiem arystokratyczne przekonanie, że praca produkcyjna jest lepsza, na jej podstawie można domagać się większych przywilejów. Praca sprzątacza jest za to mniej warta. Świat pracy nie był w tym względzie solidarny. To się zmieniło. Najbardziej dynamicznym związkiem zawodowym jest obecnie właśnie SEIU (*Service Employees International Union*), który organizuje interesy ludzi pracujących w sektorze usług. SEIU wysłało nawet swoich reprezentantów do Polski jako doradców „Solidar-

ności”. Ostatnio nastąpił w tym związku pewien rozłam, ale mimo to działa on bardzo aktywnie wśród kobiet, imigrantów, wśród wykonawców tych prac usługowych, które cieszyły się dotychczas małym szacunkiem. Dzięki temu wyraźnie zmienia się wizerunek związków zawodowych w USA. Dzięki temu związki zyskują poparcie. Może jeszcze poparcie białych mężczyzn dla tego rodzaju inicjatyw nie jest duże, ale i to może ulec zmianie. Nawiązując do polskiej specyfiki – te problemy mogą stać się niebawem polskimi problemami. Prosty przykład: polskie pielęgniarki wyjeżdżają do pracy za granicę, być może ktoś kiedyś będzie je musiał zastąpić.

Wróćmy jednak do sytuacji amerykańskiej, o którą pytasz. Ważne dla rozwoju amerykańskich środowisk związkowych stało się odrzucenie odium wiążącego działalność związkową z komunizmem. To zostało już dawno przezwyciężone. Ważna była tu działalność Trumana, który dbał o to, by „zdekomunizować” związki zawodowe. Od tamtego czasu na czele amerykańskich organizacji związkowych stało wielu zdeklarowanych antykomunistów. Nie mamy tu miejsca na historię amerykańskich związków zawodowych, warto jednak przywołać i polecić pracę *Poor People's Movements* autorstwa Frances Piven i Richarda Clowarda.

Co zaś się tyczy sytuacji amerykańskiej lewicy, staje się ona coraz bardziej pluralistyczna. Są ludzie pośród demokratów, jak choćby Jim Webb, senator ze stanu Wirginia, którzy nie mają poglądów kulturowo lewicowych, ale są pro-związkowi. Lewica amerykańska nigdy nie była socjalistyczna, bo Stany Zjednoczone bardzo szybko stały się systemem dwupartyjnym, gdzie „lewicowość” zagospodarowali demokraci. Historycy tłumaczą to tak: Stany Zjednoczone były jednym z niewielu krajów, gdzie prawo głosowania posiadali niemal wszyscy biali mężczyźni już bardzo dawno temu, bo w latach 20.–30. XIX wieku, za prezydentury Jacksona. Tymczasem w Anglii mało kto posiadał wówczas prawo głosu. Dlatego w Stanach Zjednoczonych partia socjalistyczna nigdy nie stała się silna, bo też nie musiała walczyć o prawo głosu dla robotników.